

OSWALD BALZER

W SPRAWIE
GODEŁ I SŁOWNICTWA
PAŃSTWOWEGO
TERAŻNIEJSZEJ POLSKI



LWÓW 1920

NAKŁAD GUBRYNOWICZA I SYNA



DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

SPIS RZECZY.

	Str.
Słowo wstępne	1
I. Rzeczpospolita polska, jej godło państwowe i jednostka monetarna	3
II. O nazwę Sejmu	27
III. Jeszcze o nazwę Sejmu	32
IV. Dalsze uwagi w sprawie słownictwa państwo- wego teraźniejszej Polski	83

SŁOWO WSTĘPNE.

Podaję tu w wydaniu książkowym cztery artykuły, ogłoszone z osobna w odcinkach »Kurjera lwowskiego« w pierwszej i początkach drugiej połowy r. 1919 (pierwszy w nrach 1—9, z 1—9 stycznia, drugi w nrze 61 z 2 marca, trzeci w nrze 75 z 16 marca, czwarty w nrach 184—194 z 6 do 16 lipca). Łączy je wspólna myśl i dążność: zwrócenia uwagi publiczności, a przede wszystkim czynników rozstrzygających w państwie, na konieczność — a zarazem możliwość — nawiązania do dawniejszej, przedrozbiorowej tradycji przy ustaleniu wizerunku godła państwowego, a zarazem uwzględnienia dawnego, staropolskiego słownictwa technicznego przy dobieraniu nazw na oznaczenie różnych instytucji i organów państwowych teraźniejszej Polski.

Szereg zagadnień, poruszonych w pierwszym z tych artykułów, został już w przeważnej części załatwiony po myśli uwag, jakie tamże wypowiedziałem. O tyle przedruk tego artykułu można uznać za spóźniony. Umieściłem go przecież w ni-

niejszym zbiorze jako dokument chwili i pożądane może nawet jeszcze dzisiaj uzasadnienie rzeczowe przeprowadzonych już zarządzeń, a ponadto także ze względu na myślową łączność jego z artykułami następnymi. Myśli poruszone w trzech ostatnich artykułach czekają jeszcze prawie że bez wyjątku na urzeczywistnienie. Pragnąłbym, żeby zwróciły na siebie uwagę tych, do których należy decyzja w tej sprawie.

Autor.

I.

Rzeczpospolita polska, jej godło państwowe i jednostka monetarna.

Jesteśmy świadkami usiłowań, podejmowanych w ostatnich czasach, żeby starożytną, kilku wiekami praktyki językowej uświęconą nazwę naszego państwa: Rzeczpospolita polska, zastąpić określnikiem: Republika. Nie brak też prób, żeby z dawnego naszego godła państwowego usunąć koronę, zdobiącą dotychczas skroń wyobrażonego na tarczy orla.

Usiłowania te zrodziły się oczywiście z poglądu, że w nowo odradzającej się Polsce nie ma miejsca na ustrój monarchiczny, że jest to rzeczpospolita w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Takie przyczynowe powiązanie obu rzeczy ze sobą nie jest jednak usprawiedliwione. Stając z góry na stanowisku przeciwników ustroju monarchicznego, trzeba będzie w każdym razie zauważyć, co następuje:

Przedewszystkiem: kwestja, jaki ma być ustrój

Polski, rozstrzygniętą być może tylko przez konstytuante polską, czy w dalszym rzeczy toku przez jakikolwiek późniejszy sejm prawodawczy. Żaden taki sejm, ani żadna konstytuanta nie zebrały się do tej chwili (koniec 1918); sprawa organizacji naszej państwowości nie jest zatem dotąd formalnie przesądzona. W ślad za tem, cokolwiek nawet z góry dałoby się przyjąć jako rzecz pewna, trzeba będzie uznać, że na razie do rozstrzygnięcia o wiążącej się z nią kwestji nazwy państwa czy jego godła, nie są powołane jakiekolwiek inne czynniki. Przypomnieć można, z jakim naciskiem podkreślano tę zasadę wobec poprzednich władz rządowych polskich, jakie do niedawna kierowały naszymi sprawami. Należy ją zastosować także obecnie, mierząc równą miarą na wszystkie strony.

Ważniejsza rzecz inna: czy nawet po stanowczem ustaleniu ustroju Rzeczypospolitej przez powołane do tego ciało prawodawcze, istnieć będą rzeczowe podstawy, a po części i przedmiotowa możliwość, żeby zaznaczone na wstępie dwie zmiany, jedną wyrazową i drugą heraldyczną, naprawdę przeprowadzić?

Zdawałoby się, że nawet największemu antymonarchiście nie powinien wadzić stary określnik naszej państwowości: *Rzeczpospolita polska*. Jeżeli mimo to napotyka on na opór z tej strony, to widocznie dlatego, że w Polsce przedrozbiorowej, mimo utartą od XVI w. nazwę Rze-

czypospolitej, istniała przecież królewskość. Rodzi się zapewne obawa, żeby przez zachowanie tego wyrazu nie stworzyć wątpliwości co do rzeczywistego kształtu rządowego w nowej Polsce. Obawa zgola niezasadna, i to z dwu powodów. Najpierw dlatego, że podstawiony w miejsce tamtego nowy określnik: republika, pojęciowo, w oderwaniu, znaczy zupełnie to samo, co Rzeczpospolita, że więc wszystko, co dałoby się zmieścić pod jednym z tych określników, da się też podciągnąć pod drugi. Potwóre zaś, trzeba przypomnieć, że wyraz Rzeczpospolita, jak się on ostatecznie ustalił u nas w wieku XVI, nie stoi w żadnym bezpośrednim związku myślowym z samą formą ówczesnych rządów w Polsce, t. j. z królewskością. Jest to określenie państwa na ogół, niezależnie od kształtu rządowego, jaki w niem istnieje. Dosłowne to tłumaczenie wyrazu łacińskiego »res publica«, który, podobnie jak u Greków »polis«, miał również ogólne znaczenie »państwo«, w zupełnem oderwaniu od jego form rządowych. W pojęciu Rzymianina istniała »res publica« rzymska nie tylko wtedy, kiedy państwo to w rzeczywistości było Rzeczpospolitą, ale także za królów Serwiusza Tulliusza lub Tarkwiniusza, czy zresztą także za cesarzy Oktawiana Augusta, czy Tyberjusza. Świadomość takiego szerokiego znaczenia określnika: Rzeczpospolita utrzymuje się w literaturze naszej dawniejszej bardzo wyraźnie. Górnicki mówi: »Rzeczpo-

spolita jest, gdy wspólnie w jednym zgromadzeniu ludzie mieszkając, porządnie, obyczajnie i sprawiedliwie żyją»; a Bazylik w przekładzie Modrzewskiego wyraża się: »Rzeczpospolita jest zgromadzenie ludzkie porządnie zebrane, ku dobremu życiu postanowione«. Nigdzie tu w tych określeniach zasadniczych niema zaznaczonego związku z królewskością; scharakteryzowane jest samo tylko, na sposób ówczesny urobione pojęcie państwowości. Co większa, znajdują się nawet wypadki, gdzie królewskość pojęciowo wyróżniona jest wprost, a raczej przeciwstawiona określeniu Rzeczypospolitej. Leszczyński wypowiada sentencję: »Królowie są śmiertelni, lecz Rzeczpospolita nieśmiertelna«. W nazwie Rzeczypospolitej, o ile ją wziąć w tem znaczeniu ogólnem, najobszerniejszem, da się tedy najwygodniej zmieścić także niemonarchiczny kształt rządów.

Niezależnie od tego, conajpóźniej u skłonu istnienia Polski przedrozbiorowej, wytworzyło się inne, ściślejsze pojęcie określnika Rzeczpospolita, liczące się już także z samą formą rządu państwowego; w tem znaczeniu jednak przeciwstawia się ono właśnie pojęciu rządów monarchicznych. Wyrwicz stwierdza wyraźnie, w odróżnieniu od wszelakich monarchij, że »państwa rządzące się rządem... demokratycznym, nazywają się rzeczpospolite«. Zacieśniony pojęciowo w ten sposób określnik niniejszy upo-

wszechnił się w najszerszej mierze w ciągu w. XIX i utrzymał po dziś dzień jako techniczne określenie niemonarchicznej formy rządów. W nauce używa się go wyłącznie na jej oznaczenie; w życiu codziennem również w przeważnej mierze. Mówimy i piszemy powszechnie: rzeczpospolita francuska czy szwajcarska, chcąc przez to wyrazić myśl, że w państwach tych całowładność spoczywa w ręku narodu, który ją wykonywuje zapomocą wybranych przez się organów, i że niema tam żadnego panującego. Z określnikiem: republika na oznaczenie rzeczonych państw spotykamy się w języku potocznym bez porównania rzadziej. Prawda, że kiedy chodzi o odpowiedni przymiotnik, musimy użyć wyrazu: republikański; dzieje się to jednak dlatego tylko, że wyraz rzeczpospolita, który jest złożony, i sam już w składzie swoim posiada przymiotnik, nie nadaje się do zużytkowania w drugostopniowej formacji przymiotnikowej. Przymiotnik: »republikański«, występuje w naszym języku conajpóźniej już w początkach w. XIX; ale niema w nim jeszcze wtedy rzeczownika: republika. Znamienne świadectwo składa w tym kierunku Linde: przytacza on już w słowniku swoim wyrazy: republikański i republikanin, ale nie podaje jeszcze samego wyrazu republika.

Można przypuścić, że zjawienie tej ostatniej nazwy (republika) mamy do zawdzięczenia wpły-

wom francuskim, w czasach, jakie nastąpiły po wielkiej rewolucji; przemawia za tem okoliczność, że jako wyraz obcy, występuje ona tu nie w pierwotnym kształcie łacińskim (*respublica*), jeno w szacie, przykrojonej na modłę francuską (*republique*). Mając dawniejszy, czysto polski określnik: *rzeczpospolita*, język nasz uciekł się do tej formy obcej tylko z konieczności, przy tworzeniu wyrazów pochodnych; dla oznaczenia samej rzeczy głównej nie uznał, jeszcze na przełomie w. XVIII i XIX, formy »republika« za odpowiednią, poprzestając w y ł ą c z n i e na tamtej, polskiej.

Otóż i wynik: w jakimkolwiek znaczeniu pojmujemy określnik: *rzeczpospolita*, obszerniejszem, czy ściślejsem, wystarczy on w całości na oznaczenie republikańskiej formy rządu: w pierwszym wypadku, jako nazwa państwa na ogół, które oczywiście mieści w sobie także pojęcie państwa niemonarchicznego, w drugim jako techniczne właśnie określenie republikańskiego ustroju państwowego. Niema tedy bynajmniej powodu, żeby to określenie zarzucać i wprowadzać w jego miejsce inne, na prawdę nieutarte: republika. Sam też pomysł takiej innowacji nie rokuje nadziei powodzenia. Sprzeciwi mu się praktyka językowa, która wyraźnie już przechyliła szalę na korzyść formy czysto polskiej, i która ją tu statecznie przechylać będzie musiała; z istoty bowiem rzeczy chętniej da pierwszeństwo wyrazowi o kształcie na wskrós rodzi-

mym, przed określnikiem, który przedstawia formę obcą.

Ważniejsza rzecz inna. Przez długie, kilkowiekowe używanie, określnik *Rzeczpospolita* zespolił się w pojęciu naszym jak najściślej z koncepcją państwowości polskiej. *Rzeczpospolita* polska, nie: republika polska, to stała nazwa, której od w. XVI używaliśmy na oznaczenie naszego państwa, zarazem taka, która utrzymała się nawet po rozbiorach, aż po dzień dzisiejszy, i to nie tylko jako określnik państwa dawniejszego, ale także i tego, które przez długi czas było naszym marzeniem, celem naszych zabiegów na przyszłość. Mówiliśmy i mówimy nie tylko o jakichkolwiek wypadkach dziejowych dawnej *Rzeczypospolitej*, ale także o ludności, zasiedlającej po dziś dzień obszary *Rzeczypospolitej*, o kresach *Rzeczypospolitej* i t. p. — wszystko niezależnie od tego, jakim kto hołdował przekonaniom politycznym, i do jakiej zaliczał się partji: czy był monarchistą czy antimonarchistą. Niezmiernie trudno przyszloby teraz odebrać narodowi to, co przez wiekowe użycie stało mu się wyrazowym symbolem jego samostnego bytu politycznego. Wbrew próbom zreformowania nomenklatury, będziemy mówili i pisali: *Rzeczpospolita* polska.

Podobne zastrzeżenia nasuwają się jako konieczne co do podjętych ostatnio (koniec 1918) usiłowań przetworzenia g o d ł a p a ń s t w o w e g o

Polski przez usunięcie korony z nad głowy orla. Znowuż trzeba tu stwierdzić, że zajmując nawet stanowisko skrajnie republikańskie, brak istotnych, rzeczowych powodów do podejmowania krucjaty przeciw koronie w godle. O ile sięgniemy w czasy, w których godło to zaczęło się kształtować, trzeba będzie oczywiście stwierdzić, że korona stała wtedy w ścisłym związku z koncepcją królewskości. Ozdobił nią po raz pierwszy Henryk IV nieukoronowanego przedtem orla Piastów małopolskich, kiedy nabywszy Kraków, tuż przed r. 1290, podjął starania o odnowienie królestwa polskiego; takiż sam kształt ukoronowanego orla zjawia się na godle pomazanego 1295 na królestwo Przemysła II; i odtąd już, z krótką jeszcze przerwą w przedkoronacyjnym okresie Łokietkowym, taki właśnie kształt godła utrzymuje się na stałe. Jeżeli jednak ta reminiscencja królewskości wadzić ma w czemkolwiek koncepcji republikańskiej, to trzeba przypomnieć, że królewskość nie jest jedynym kształtem rządu monarchicznego, i że przed odnowieniem królestwa istniał w Polsce na dłuższej przestrzeni czasu inny, książęcy typ rządów monarchicznych, w którym to okresie niektóre odgałęzienia książąt Piastów jako symbolu swej władzy używały orla nieukoronowanego. Używali takiego orla od początków XIII w. Piastowie śląscy, prawda, że z pewną odmianą (przepaska, wzgl. półksiężyc

na piersiach) i w odmiennych barwach (orzel czarny w żółtem polu); używali go od późniejszych lat tegoż stulecia książęta mazowieccy, i to, jak przypuszczać można, od razu w tych samych, co i godło polskie, białoczerwonych barwach heraldycznych, skoro późniejszy herb województwa mazowieckiego barwy takie wykazuje. Używali go wreszcie, również w wieku XIII, Piastowie małopolscy, Leszko Biały i Bolesław Wstydlivy; właśnie przez umieszczenie korony nad głową orla małopolskiego powstało późniejsze godło państwowe polskie. Wszędzie tu orzeł nieukoronowany jest odpowiednikiem rządów monarchicznych. O ile-tedy sięgnąć do reminiscencji historycznych, nie zgodzi się o n t a k s a m o z koncepcją republikańską, jak orzeł z koroną.

Ale inna rzecz historyczny proces tworzenia się godła, a inna znowuż znaczenie godła, jakie ono po ostatecznem ustaleniu się przedstawia jako symbol państwowości. Jak gdzieindziej, tak i u nas z biegiem czasu godło, z osobistego znamienia władców, przetworzyło się w stałe znamię państwa. Dlatego późniejsze zmiany dynastji czy osób, zasiadających na tronie, nie zdołały już wpłynąć na przekształcenie jego wizerunku. Nie wprowadził tu lilij andegaweńskich czy chociażby wrębów węgierskich Ludwik, kiedy objął spuściznę po Kazimierzu W.; nie wpłynęła w niczem na

przetworzenie jego kształtu Pogoń Jagiellonów. Ukoronowany orzeł biały w czerwonym polu pozostał na trwale wyrazem państwowości polskiej. I tak samo pozostał nim przez kilka dalszych stuleci, aż do rozbiorów, mimo że na tronie polskim za każdym niemal razem mieniali się przedstawiciele różnych rodów z odmiennymi godłami osobistymi. Nastąpiło skrzepnięcie wizerunku na godle państwowem, jako odpowiednik zasady, że państwo, jako osobowość, pozostaje zawsze pojęciem i wartością taką samą, niezależnie od zmian, jakie dokonać się mogą co do kierownictwa jego sprawami. I to nie tylko wtedy, kiedy, przy monarchicznym ustroju, nastąpi zmiana co do samej osoby władcy, ale także i w tym wypadku, kiedy zmieni się kształt rządu, więc np., kiedy monarchja przetworzy się w Rzeczpospolitą. I słuszną: bo do istoty i zaistnienia państwa wymaga się tylko tyle, żeby wytworzony z zespolenia się pewnego ludu na pewnym terytorjum organizm posiadał pewną naczelną władzę, jakiegokolwiek zresztą rodzaju; czy to będzie władza monarchiczna, czy republikańska, jest rzeczą z tego stanowiska obojętną. Skoro tedy dla Polski, jako osobowości państwowej, wytworzył się ostatecznie stały kształt godła, to niema podstawy, żeby z dokonaną zmianą formy rządu przeprowadzać w niem jakiegokolwiek poprawki. Osobowość państwowa Polski pozostaje w każdym razie taką samą,

i domaga się w następstwie tego utrzymania tego samego symbolu, który ją poprzednio na zewnątrz wyrażał, zatem też, przy republikańskim nawet ustroju, utrzymania korony nad głową orła, jak się ona tu już od końca XIII. w. ustaliła. Pod pewnym kątem patrzenia da się zresztą stwierdzić, że zasada ta jeszcze w dobie przedrozbiorowej znalazła zastosowanie praktyczne w Polsce samej. W czasie bezkrólewia nie było w Polsce rejencji w ścisłem, technicznem tego słowa znaczeniu, mimo nawet, że prymasa opatrywano czasem tytułem: interrex; gdyż całość władzy w państwie nie przechodziła na niego, jeno na ogół szlachty, na »rady, rycerstwo i całą społeczność szlachecką«, która ujmowała władzę w swe ręce, łącząc się w związek konfederacyjny. Powstawał tedy rodzaj tymczasowego rządu republikańskiego, przy zacieśnionem; co prawda, odpowiednio do stosunków ówczesnych, prawie uczestnictwa do uprzywilejowanej warstwy narodu. A jednak i w tym czasie godłem Polski pozostał orzeł ukoronowany.

Że dzisiaj, w niektórych nowo powstających państwach, jak w Rzeczypospolitej czeskiej, pospieszono się z usunięciem symbolu koronnego z dawnego godła państwowego, w tem nie znajdzie się wystarczający argument na poparcie zapatrywania przeciwnego: bo nie wszystko, co się dzieje poza

obróbem Polski, jest zasadne i naśladowania godne.

Opozycja niektórych zwolenników idei republikańskiej przeciw symbolowi koronnemu ma niewątpliwie źródło swe w założeniu, że przedmioty, wyobrażone na wizerunku godła, muszą koniecznie odpowiadać rzeczywistości, że więc w godle Polski, jako rzeczypospolitej, nie może się mieścić korona, jako znamię królewskość. Takie powiązanie rzeczy jest zgoła niezasadne. Można przytoczyć bezlik przykładów, które stwierdzają z jednej strony, że godła państw monarchicznych nie posiadają korony, i na odwrót, że godła z koroną zjawiają się w takich wypadkach, gdzie nie zachodzi żaden związek między podmiotem uprawnionym do używania odnośnego znamienia, a ideą królewskość, czy wogóle jakiegokolwiek władzy monarchicznej. Odliczając t. z. klejnot w znaczeniu ścisłym, t. j. pewne ozdoby ponad tarczą godła, których znaczenie ideowe w heraldyce jest podrzędne, nie znajdziemy korony w samej tarczy używanych po dziś dzień i ustalonych zdawna godeł państwowych Belgji, Hiszpanji, Włoch i t. p., mimo że to królestwa; żeby nie mówić o istniejących do ostatnich czasów godłach królestw portugalskiego, serbskiego i t. p., które również nie posiadały korony w tarczy. Na odwrót, żeby tu ograniczyć się już tylko do stosunków polskich, przytoczyć można godła

szlacheckie, używające korony w tarczy, mimo że dany ród szlachecki nic nie miał wspólnego z wykonywaniem jakiegokolwiek władzy monarszej, czy z osobną królewską. W godle Kolumna (Roch) widnieje korona nad słupem, w godle Lewart przedstawiony jest ukoronowany lampart, godło Rawicz wyobraża ukoronowaną postać niewieścian na niedźwiedziu, godło Wąż ukoronowanego węża. Na szczególną uwagę zasługują pod tym względem godła naszych miast, gdyż znamię koronne występuje tu bardzo często. Pomijam już takie, jak godła Bochni i Wieliczki, które są reprodukcją godła państwowego, z pewnymi tylko indywidualizującymi dodatkami na piersiach orła; można tu bowiem odwołać się do argumentu, że są to nadane owym miastom przez królów godła samego państwa. Ale wiele innych miast posiada zgoła inne wizerunki na tarczach, a przecież i tutaj nie brak korony. Godło Krakowa przedstawia mur z wystającymi zeń trzema wieżami; nad środkową, wyższą, umieszczona korona. Typowo także samo godło, znowuż z koroną nad wieżą środkową, posiadają miasta: Sącz, Biecz, Gródek i in. Na godle Głogowa wyobrażona litera G z koroną, na godle Magierowa ukoronowana panna na niedźwiedziu, na godle Sanoka, którego tarcza przedzielona na trzy osobne części; jedna z nich przedstawia ukoronowanego smoka. Możliwość przykłady owe mnożyć w nieskończoność; wystarczą przecież i te, które

już przytoczyliśmy. O jakimkolwiek związku organizacji miejskiej z wykonywaniem funkcji królewskich, czy na ogół monarszych, nie ma oczywiście mowy; owszem, organizacja ta, powołująca tu do działania rady miejskie, z wyboru pospółstwa wychodzące, opierała się w zasadzie na idei republikańskiej; a przecież korona w godłach tych miast zjawia się tak często. Nie uratuje sprawy nawet powołanie się na okoliczność, że są to miasta królewskie, których podwładność wobec monarchy miała być wyrażona za pomocą symbolu koronnego; jest bowiem znowuż bezlik innych miast królewskich, które w godle swem symbolu owego nie wykazują, i na odwrót nie brak miast prywatnych, których godło symbol ten zawiera. Tak n. p. Horodenska, przez długi czas własność Buczackich, a ostatnio, przed rozbiorami, Potockich, w trójdzielnej tarczy swego godła posiada jeden przedział, na którym wyobrażone są trzy korony.

Z zestawień tych wypływa, że nawet w czasach dawniejszych, kiedy zagadnienia heraldyczne przedstawiały daleko większe znaczenie aktualne, obecność korony w godle niekoniecznie odpowiadała koncepcji królewkości, czy na ogół funkcjom monarszym. Tem mniejsza zachodzi potrzeba przywiązywania takiego ścisłego znaczenia do korony godła państwowego w stosunkach dzisiejszych, gdzie mamy do czynienia z skrzeplym już i ustalonym z dawna jego kształtem. Da się ona tu po-

godzić także z koncepcją Rzeczypospolitej. Na ogół brak podstawy do reformy godła państwowego przez usunięcie korony z nad głowy orła, zwłaszcza skoro godło to w takim właśnie kształcie, przez tylowiekową praktykę, stało się zindywidualizowanym symbolem państwowości polskiej. Jeśli stanąć na stanowisku, że wszystko, co znajduje się na wizerunku godła, musi odpowiadać ściśle stosunkom rzeczywistym, niewiedomo gdzie przysłoby zatrzymać się przed zmianami. Trzeba będzie w takim razie ze wszystkich godeł miejskich pusuwać korony, żeby nie przypominały idei monarchicznej; trzeba będzie niejedno inne godło państwowe poddać reformie, usuwając występujące tu i ówdzie przedmioty, dziś nieużywane, jak: miecze, czapaki, czy inne podobne wyobrażenia, i zastępując je szablami, siodłami i t. d. Najważniejsza rzecz — żeby przy naszym tylko pozostać godło — należy też zmierzyć, do jakich następstw doprowadzić może precedens takiej reformy, skoro raz uzna się ją tu jako rzecz dopuszczalną. Dziś usuwamy koronę, jutro uznamy za rzecz potrzebną przyozdobić orła jakimś nowym emblematem, kiedy indziej zadekretujemy, że barwy heraldyczne godła, biała i czerwona, zatem także i barwy sztandaru państwowego, mają być zastąpione innemi albo też inną barwą. Godło i sztandar państwowy staną się igraszką chwilowych pomysłów czy środ-



kiem urzeczywistnienia pewnych dążeń politycznych; nastąpi powrotna zmienność godła, nie tylko wbrew zasadzie, że jako symbol niezmienną się osobowości państwowej winno ono pozostać niezmiennem, ale także wbrew żywotnym interesom państwa samego, żeby symbolu tego nie wciągać w wir walk politycznych.

Bo nie można się ludzić: nasze godło, tak jak je wytworzyła przeszłość, stało się ukochaniem najszerszych warstw narodu, w porozbiorowej zwłaszcza dobie zewnętrznem znamieniem utracionej niepodległości, ośrodkiem symbolicznym, około którego skupiały się wszystkie nasze dążenia narodowe; jego wizerunek utrwalił się niezatartym śladem w oczach duszy naszej, przesiąknął do cna w krew i kości nasze. Około takiego właśnie a nie innego godła zogniskowywali dążenia swoje republikanie najczystszej wody: Lelewelowi czy Mierosławskiemu symbolem Polski dawniejszej czy przyszłej był orzeł ukoronowany; pod jego sztandarem walczyli przy Kościuszcze Głowacki i lud krakowski, a później, w całym szeregu dalszych akcji zbrojnych narodu, nie tylko kontuszowcy, ale i synowie chłopscy, czy pracownicy w robotniczej bluzie. Nie łatwo przyszłoby nam teraz oddać symbol ten na eksperymenty reformatorskie. Można też przyjąć z góry, że musiałyby one natrafić na najpowszechniejszy opór. Czy istnieje jakakolwiek nadzieja, że w walce tej myśl zreformo-

wania godła państwowego odniesie zwycięstwo? A gdyby nawet nadzieję taką żywić, czy opłaci się o rzecz, w zasadzie formalną i zewnętrzną, rozpoczynać spory, i to w czasie, w którym tyle innych ważniejszych zadań jest do przeprowadzenia? W interesie nie samej już tylko koncepcji republikańskiej, ale na ogół Polski leży, żeby, skoro dojdzie do ustalenia nowego kształtu rządowego, oprzeć go na podwalinach, bez porównania ważniejszych od czysto formalnej kwestji wizerunku w godle państwowem. Stonsuowaniem ukoronowanego orla podwalin tych nie zbudujemy.

Zwracam się do trzeciego z rzędu zagadnienia, w porównaniu z tamtymi dwoma oczywiście podrzędniejszego, niemniej jednak w wysokim stopniu aktualnego, zwłaszcza, że ostatnio (koniec (1916) ustaliła się dla niej używana dotąd nomenklatura publiczna. Mam na myśli sprawę nazwy, jaką należałoby nadać jednostce monetarnej w Polsce. Zaraz od pierwszych czasów po utworzeniu rządu polskiego w Warszawie (1916), ustaliła się dla niej używana dotąd nazwa marki polskiej. Ze tę nomenklaturę, żywcem nawiązującą do słownictwa niemieckiego, trzeba będzie zmienić, o tem, zdaje się, nikt nie wątpi. Ale jaki, w miejsce marki, podstawić nowy określnik polski? Co do tego rozchodzą się w różnych kierunkach objawione dotąd zapatrywania, dodajmy z góry, w przeważnej części bardzo niefortunne.

Rzucono myśl, żeby jednostkę naszą monetarną nazwać »piastem«. Przyświecały tu zapewne jako wzór nazwy niektórych monet francuskich, t. z. ludwików czy napoleonów, choć to tylko niedokładne tłómaczenie oryginalnego określnika, który w całości opiewa: »ludwik ze złota«, »napoleon ze złota« (louisdor, napoleonor). Cokolwiek o zasadności takiego naśladownictwa chcielibyśmy sądzić, na jedno przedewszystkiem należy zwrócić uwagę: że nomenklatura ta nie odnosi się do właściwej jednostki monetarnej, którą we Francji jest frank, jeno do pewnych monet złotych, których wartość równa się większej ilości takich jednostek. Powtóre: niniejszy sposób nazywania monet da się stwierdzić tylko odnośnie do Francji, nie powtarza się zaś gdzieindziej; trudno tedy doszukać się przyczyny, dlaczego taki wyjątkowy proceder terminologiczny miałby znaleźć naśladownictwo u nas. Ważniejsza jeszcze rzecz inna, że nawet przytoczone nazwy francuskie urobione zostały z imion władców, nie zaś z nazwisk dynastji. Niema nawet tutaj monet, zwanych kapetyngami czy burbonami. Jakaż racja, żebyśmy sięgali do piastów? Zważmy ponadto następstwa: dostojny określnik starożytnego rodu naszych monarchów stanie się przedmiotem codziennego targu, wyzywany będzie przy najbrudniejszych nawet interesach handlarskich i lichwiarskich. Takiej poniewierki oszczędzimy chyba pamięci władców,

którzy Polskę zbudowali i do dalszego życia ukrzepili.

Inny pomysł, jaki rzucono niedawno, to ten, żeby jednostkę monetarną ochrzcić nazwą »pol«. Zapewne przyświecał tu znowuż wzór francuski, tym razem oparty o nazwę franka. Zapomniano tylko, że »franc«, to dawny, pełny wyraz, przymiotnik do domyślnego rzeczownika. Gdyby według tego wzoru chcieć utworzyć odpowiednią dla nas nomenklaturę, należałoby użyć formy »polski«, co znowuż trudno przeprowadzić: jakkolwiek bowiem język nasz niejednokrotnie posługuje się przymiotnikami w zastępstwie domyślnych (opuszczonych) rzeczowników, to jednak w tym wypadku konstrukcja taka byłaby dość niezwykła. Nielatwo przyszloby nam wyrazić się, że za pewien towar płacimy trzy »polskie«, albo że nam ktoś winien tysiąc »polskich«; conajmniej zaś trzebaby dopiero pewnego czasu, żebyśmy się przyzwyczaili do takiego sposobu mówienia. Ale cóż znaczyć może sam określnik »pol«? Jest to tylko cząstka rzeczywistego wyrazu polskiego, oderwana od reszty w sposób czysto mechaniczny, dająca formę zgola nieetymologiczną i duchowi naszego języka obcą. Zupełnie tak samo, jak gdyby ktoś ukuł nowy wyraz »niedź«, i ze względu na tożsamość pierwszej zgłoski chciał twierdzić, że pojęciowo ma on cokolwiek wspólnego z niedźwiedziem, czy też na ogół, że można go poczytać za wyraz polski. Tego ro-

dzaju pomysły, wysoce naiwne, na zupełnej nieznamości etymologii oparte, nie zdołają sprawy ani o krok posunąć naprzód.

Duchowem dzieckiem poprzedniego jest nowy pomysł terminologiczny, o którym czytam wiadomość w najnowszych dziennikach. Donoszą one, że naczelny zarząd skarbu w Warszawie nosi się z zamiarem puszczenia w obieg pieniędzy z ustaloną dla jednostki monetarnej nazwą »polon«. Mam wrażenie, że informacja jest mylną; trudno bowiem przypuścić, żeby istnieć mógł zamiar obdarzenia nas wyrazem do tyła ohydny. Sama nawet koncepcja polskości, jaka się w nim ma mieścić, przewartościowana tu została w źródłosłów łaciński; a utworzony zeń wyraz odpowiada typowi nazw, używanych pospolicie na określenie specyfików aptecznych lub maści do odczyszczenia kruszców i t. p. W najlepszym razie słowo takie należałoby do słownika chemii, jako określenie pierwiastka czy jakiegoś połączenia chemicznego, choć i tutaj spotkałoby się z wcześniejszą inwencją pani Curie-Skłodowskiej, która odczuwając o wiele lepiej i subtelniej, co wolno robić z językiem, a co nie uchodzi, zamiast jakiejś niefortunnej nazwy o kształcie polskim czy francuskim, dała odkrytemu przez się pierwiastkowi naturalną, w słownictwie naukowym dopuszczalną nazwę łacińską: polonium. Można mieć nadzieję, że jeśli naczelny zarząd skarbu zasięgnie w tej sprawie opinii nie

już lingwistów, ani nawet tych, którzy baczą na piękność języka, ale chociażby tych, którzy liczą się z jego przyzwoitością, odstąpi od zamiaru obdarowania nas tą nową, fatalną formacją językową.

Zgodnie z tem, za czem w toku niniejszej dyskusji oświadczone się już z wielu stron, ostatnio także w fachowem piśmie, sprawom numizmatyki poświęconem, sądzę, że najstosowniejszą nazwą naszej nowej jednostki monetarnej będzie starożytny, praktyką szeregu wieków utarty określnik: »złoty«, czy w pełniejszym kształcie: »złoty polski«. Że to nie będzie moneta naprawdę złota, o to niema powodu rozdzierać szat; istniały w niedawnej Austrii, a istnieją po dziś dzień w Holandji »guldeny«, dosłownie »złote«, mimo, że to naprawdę moneta srebrna, albo nawet pieniądz papierowy. I znowuż nie zawadzi tu okoliczność, że dawniejszy, przedrozbiorowy złoty polski miał inną wartość wewnętrzną, aniżeli ją mieć będzie dzisiejszy złoty, dostosowany zapewne w dalszym także ciągu do waluty markowej. Są bowiem liczne przykłady, wskazujące, że mimo zmiany wartości pieniądza, jakim on ulegał w kolei czasu nie tylko względnie, ale także co do samej zawartości szlachetnego kruszcu, przecież dla jednostek monetarnych, według takiej odmiennej stopy menniczej wybijanych, utrzymywała się ta sama nazwa. Historia florenów, włoskich, reńskich, węgierskich, składa o tem wymowne świadectwo; a także dzi-

siejsza marka niemiecka, to całkiem co innego i nieznaczna tylko częśćka dawniejszej grzywny srebra (marca), od której mimo to wzięła nazwę. Jedyna praktyczna trudność w przyjęciu nazwy »złoty« na określenie nowej jednostki monetarnej, zdaje się tkwić w tem, że w krajach byłego zaboru rosyjskiego określnik ten, przez zestosunkowanie wartości dawnego złotego polskiego z walutą rublową, przybrał znaczenie drobnej monety rachunkowej (15 kopiejek), której wartość nie mogłaby się pokrywać z wartością nowej jednostki monetarnej. Po dziś dzień jeszcze kumoszki warszawskie liczą na tego rodzaju »złote« dawniejsze. Zapewne rodzą się obawy, że przez wprowadzenie tej nomenklatury powstanie pewne zamieszanie w stosunkach codziennego obrotu, i nie jest to z pewnością rzeczą przypadku, że właśnie w byłym Królestwie ujawnia się stosunkowo najsilniej opór przeciw tej nomenklaturze, jak niemniej, że stamtąd właśnie pochodzą rozmaite próby przemianowania jednostki monetarnej. Zaznaczę wobec tego najpierw, że przeszkoda ma tu w każdym razie tylko charakter partykularny, że nie odnosi się do Galicji, Poznańskiego czy Śląska; a powtóre, co ważniejsza, że przez samo urzędowe ustalenie nazwy nowej jednostki monetarnej, możliwie także przez stosowne pouczenie ludności o dokonanej zmianie, da się usunąć z łatwością. W każdym razie trudno żądać, żeby dla wygody kumoszek war-

szawskich narzucać całej Polsce coraz to wstrętniejsze dziwolagi językowe, jako nazwę jednostki monetarnej. Na ogół trudności, jakie z dwoistego znaczenia tej nazwy mogłyby się jeszcze chwilowo wyłonić, dadzą się usunąć rychło, a są znowuż zbyt nikłe, żeby dla nich poświęcać rzecz samą. Unikniemy w ten sposób potrzeby szukania coraz to nowych i coraz mniej fortunnych nomenklatur, i ustalimy dla naszej jednostki monetarnej nazwę, nie tylko cuchiowi języka polskiego zupełnie odpowiadającą, ale zarazem w języku tym dawno już nabyte prawo obywatelstwa posiadającą.

Poprzestaję na rozpatrzeniu tych kilku zagadnień terminologicznych, zaznaczając jeszcze tylko ogólnie, że nie wyczerpują one wszystkiego, co w kształcie krytyki ujemnej dałoby się zauważyć odnośnie do słownictwa, zastosowanego już obecnie do urządzeń i spraw nowo budującej się Polski. W niejednym wypadku zdarzyło się, że urządzenia takie, czy pewne, w ich obrębie działające organy, opatrzone nazwami nowo stworzonymi, nie sięgając do bogatego skarbcza dawnego języka naszego, w którym znaleźć można obfity zasób wyrazów technicznych, też same pojęcia określających całkiem ściśle, a jednak bardziej swojskich, czasem jedrniejszych i dosadniejszych, i dawną naszą praktyką językową uświęconych. Widocznie naczelne władze, jakie od dwu lat zmieniały się po kolei, nie przywiązywały do tej sprawy większej

wagi, mimo, że znaleźć mogły co do niej informacje najkompetentniejsze na miejscu, w Warszawie; jeśli zaś przyjąć, że o informacje takie zabiegały, to trzeba znowuż zapytać, gdzie byli ci, którzy ich udzielić byli powinni? Byłoby w każdym razie rzeczą pożądaną, żeby na sprawę tę w przyszłości pilniejszą zwrócić uwagę.

II.

O nazwę Sejmu.

Znowuż zaczynamy błąkać się, szukając rozmaitych określeń technicznych na oznaczenie naszego Sejmu. Jak dotąd, spotkałem się tu z następującymi nazwami: »Sejm«, »Sejm polski«, »Sejm ustawodawczy«, »Sejm narodowy«. Nie jest rzeczą wykluczoną, że w tem poszukiwaniu za stosowną nomenklaturą wybierzemy właśnie rzecz najmniej, czy chociażby niedość usprawiedliwioną, jak się to stało chwilowo z nazwą naszej jednostki monetarnej (lech). Poczuwam się wobec tego do obowiązku zwrócić uwagę na niedostatki przytoczonych terminów, a zarazem przypomnieć nazwę, która aż prosi się, żeby z niej skorzystać przy ustaleniu teraźniejszego określenia Sejmu.

Nomenklatura »Sejm«, jako możliwie krótki sposób oznaczenia tej instytucji, jest oczywiście usprawiedliwioną, i nadaje się zwłaszcza do użycia w mowie potocznej, w stylu dziennikarskim i t. p. Nie ona jednak wchodzi tu w rachubę. Sam

przytoczony poprzednio rejestr nazw wskazuje, że chodzi o to, żeby przez dodanie stosownego uzupełnienia przymiotnikowego rzecz całą bardziej sprecyzować i stworzyć dla Sejmu nazwę niejako techniczną, czy urzędową. Otóż właśnie trudno uznać, żeby którykolwiek z tych dodatków przymiotnikowych był wynalazkiem — szczęśliwym.

Nazwa »Sejm polski« może być zasadną o tyle tylko, o ile chodzi o przeciwstawienie naszego przedstawicielstwa jakimukolwiek parlamentowi innego państwa. W tem rozumieniu można było mówić do niedawna o »austriackiej« radzie państwa w przeciwstawieniu do sejmu »węgierskiego«; w ten sam sposób możnaby też przeciwstawić Sejm »polski« jakimukolwiek innemu współczesnemu, n. p. »czeskiemu«. O ile jednak o przeciwstawienie takie osobno nie chodzi, a nasunie się jedynie potrzeba określenia Sejmu jako takiego, upada wszelka racja, żeby się tu posługiwać tym przymiotnikiem, ile że to rzecz, rozumiejąca się sama przez się. Wszak Sejm w Polsce nie może być innym, jak polskim; i jak Węgier czy Czech, mówiąc o swoim Sejmie, nie będzie go określał technicznie Sejmem »węgierskim« czy »czeskim«, tak też niema podstawy do podobnej konstrukcji tego pojęcia w naszym języku urzędowym.

Brak również dostatecznej podstawy do utrzymania nazwy: »Sejm ustawodawczy«. Byłaby ona zasadną, gdyby oprócz, czy obok Sejmu ustawo-

dawszego istnieć mógł jakiś Sejm nieustawodawczy, co jest rzeczą nie do pomyślenia; gdyż najistotniejszą atrybucję każdego Sejmu stanowi właśnie prawo ustawodawcze. I to tak, że ta właśnie funkcja wypełnia przedewszystkiem treść organizacji sejmowej; dwie inne funkcje władzy państwowej, t. j. władza sądowa i władza rządowa (wykonawcza) do Sejmu bezpośrednio nie należą i wykonywane są przez odrębne organy (sądy i ministerstwa, oraz podwładne im urzędy). Nawet przysługujące Sejmowi prawo kontroli nad rządem, ujawniające się przedewszystkiem w możliwości pociągnięcia ministrów do odpowiedzialności, nie jest samo przez się wykonywaniem władzy rządzącej. Ściśle rzecz biorąc, określnik »Sejm ustawodawczy«, jest tedy zbyteczną tautologią, gdyż dodany przymiotnik wyraża nie co innego, jak tylko tę samą myśl, która wypełnia treść pojęcia samego Sejmu. O ile zaś znowuż stanąć na stanowisku szerokiej koncepcji republikańskiej, że Sejm, jako przedstawicielstwo ogółu obywateli, jest zarazem pośrednio reprezentantem całej przysługującej mu władzy zwierzchniczej w państwie, określnik »Sejm ustawodawczy« okaże się za ciasnym, a raczej niedokładnym, gdyż całość władzy zwierzchniczej nie wyczerpuje się w funkcji ustawodawczej, owszem obejmuje jeszcze, jak co dopiero wspomnieliśmy, inne funkcje, rządzącą i sądowniczą, w określniku tym pominięte.

Nazwa »Sejm narodowy« chroma znowuż z innego względu. Żeby ją uznać za usprawiedliwioną, trzeba będzie pojęcie narodu utożsamić z pojęciem obywatelstwa państwowego — a to są rzeczy, niepokrywające się ściśle ze sobą. Bo przecież w Sejmie będzie miał przedstawicielstwo ogół obywateli należących do Polski, zatem nie jeden tylko naród (polski), ale także inne narodowości, w skład państwa wchodzące. Nie mówić już o tem, że nazwa ta jest całkiem świeżym nowotworem pojęciowym, niemającym żadnego uzasadnienia w dawniejszej naszej praktyce językowej; zdaje się, że jest to niewolnicze tłómaczenie francuskiej *assemblée nationale*, które odnośnie do Francji, o wiele bardziej narodowościowo jednolitej, da się może zastosować łatwiej, aniżeli w Polsce, znacznie pod tym względem zróżnicowanej, zwłaszcza, o ile uda się uzyskać przynależne jej granice państwowe.

Tak, szukając po omacku na wsze strony określnika technicznego dla naszego Sejmu, i schodząc skutkiem tego na coraz dalsze manowce, zapomnieliśmy doszczętnie, że określnik taki posiadamy już od szeregu wieków, ustalony i uświęcony stałą praktyką dawnego naszego języka, i do tego taki, który wszystkie myśli, w tamtych określnikach tkwiące, najdokładniej i z możliwą prawniczą ścisłością wyraża. Jest to nazwa: Sejm walny. Już w konstytucjach XVI wieku wchodzi ona w stałe użycie i przyjmuje się od razu w języku po-

tocznym, jak świadczą pisarze tegoż czasu; a utrzymuje się odtąd bez zmiany aż do upadku dawnej Polski, jako urzędowe określenie naszego przedstawicielstwa. Do potrzeb dzisiejszych da się ona zastosować w pełni. W samej nazwie »Sejm«, tkwić będzie koncepcja jego funkcji »ustawodawczej«, a znowuż określnik »walny«, wyrazi tę samą myśl, którą obecnie próbuje się uzewnętrznić za pomocą przydatków »polski«, czy »narodowy« — a raczej wyrazi ją dokładniej i ściślej, podkreślając moment przedstawicielstwa całości obywateli w państwie. Na wypadek znowuż, gdyby, czy to na ogół w ziemiach polskich, czy przynajmniej w niektórych wprowadzono sejmy prowincjonalne, da się użyć bardzo wygodnie do terminologicznego przeciwstawienia; mielibyśmy wtedy obok, czy oprócz jednego »Sejmu walnego« dla całego państwa, nadto jeszcze »Sejmy ziemskie« w poszczególnych jego częściach.

Myślę, że spłacimy dług, należny naszemu językowi, a zarazem usłużymy najlepiej rzeczy samej, jeżeli starożytniej, dostojnej i naprawdę pięknej nazwie »Sejmu walnego« przywrócimy teraz pełne prawo obywatelstwa.

III.

Jeszcze o nazwę Sejmu.

W »Kurjerze Lwowskim« nr. 61, z 2 marca 1919 zamieściłem artykuł w sprawie technicznego określenia naszego Sejmu, przyczem, oświadczając się przeciw nazwom, jakie mu nadawać poczęto, jako to: Sejm polski, Sejm narodowy, Sejm ustawodawczy, zwróciłem uwagę na nomenklaturę, utartą kilkuwiekową praktyką czasów przedrozbiorowych: Sejm walny, która w pełni nadaje się na teraźniejszy określnik naszego Sejmu. Z powodu tych uwag moich, pan Z. P. zamieścił w »Słowie Polskiem« nr. 68 i 69 z 10 i 11 marca t. r. artykuł, w którym wywodzi, że dla teraźniejszego, pierwszego Sejmu, mającego uchwalić konstytucję państwa polskiego, właśnie nazwa Sejm ustawodawczy powinna być uznana jako najodpowiedniejsza. Uwagi te, wynikiem w części z nieporozumienia, w części zaś na niewystarczających, jak sądzę, przesłankach oparte, skłaniają mnie do następującego dodatkowego wyjaśnienia:

Stwierdzę przedewszystkiem, że nazwę Sejm walny starałem się uzasadnić jako odpowiednią nie tylko dla teraźniejszego, pierwszego Sejmu, który stworzyć ma podstawy organizacyjne naszej państwowości, ale na ogół dla Sejmu jako instytucji stałej, zatem także dla wszystkich sejmów późniejszych, chociażby im przypadło zająć się podrzędniejszymi sprawami legislacyjnymi. Wypływa to już stąd, że oświadczyłem się nie tylko przeciw nazwie: Sejm polski lub Sejm narodowy, które w niczem nie wskazują na szczególne zadanie uchwalenia konstytucji państwowej; ale także i stąd, że powołując dawną nazwę: Sejm walny, zaznaczyłem wyraźnie jej zastosowalność odnośnie do każdego Sejmu byleż Rzpltej, zatem także do sejmów, które konstytucji państwowej nie uchwałyły.

Autor, broniąc nazwy »Sejm ustawodawczy« dla teraźniejszego, pierwszego Sejmu, powołuje się na to, że wprawdzie w Galicji wyraz: ustawa, używany jest w znaczeniu obszerniejszem, jako równoznacznik każdej ogólnej normy prawnej, wydanej przez organ legislacyjny, że jednak w Królestwie przybrał on znaczenie ściślejsze, i oznacza tam właśnie normy organizacyjne, np. w obrębie instytucji, stowarzyszeń i t. p. to, co my nazywamy statutem takiej instytucji. Z tego właśnie punktu widzenia wydaje mu się rzeczą odpowiednią, żeby nasz pierwszy Sejm, mający stworzyć przepisy organi-

zacyjne dla państwa polskiego, nazwać ustawodawczym.

Zachodzi tu nieporozumienie o tyle, że określnik »ustawa«, nawet w praktyce terminologicznej Królestwa, nie został bynajmniej zacieśniony wyłącznie do pojęcia norm organizacyjnych; owszem, oznacza on także jakąkolwiek inną normę ogólną, choćby podrzędniejszego znaczenia, wydaną przez powołany organ prawodawczy. Można przytoczyć wiele przykładów z pism prawników warszawskich, czy zresztą innych z Królestwa, w których wyraz ten używany jest w takim znaczeniu szerokim; niewątpliwie także, gdyby sobie zadać pracę poszukiwania, znajdą się one w tamtejszych dziennikach. Nazwa: Sejm ustawodawczy, nie wyrazi tedy ściśle myśli, o którą chodzi autorowi (Sejm powołany do uchwalenia konstytucji), gdyż da się wytłómaczyć na ogół jako: Sejm powołany do wydawania ustaw jakichkolwiek. A to właśnie stanowi słabą stronę nomenklatury (tautologja, skoro każdy Sejm z istoty swojej powołany jest do wydawania ustaw), jak na to wskazałem w poprzednim moim artykule, i jak mi pod tym kątem patrzenia sam nawet autor przyznaje słusność.

Z takiego dwoistego pojmowania znaczenia »ustawy«, w zakresie ściślejszym i obszerniejszym, wynikać mogą ponadto poważne niebezpieczeństwa przy stylizowaniu tekstu uchwał sejmowych, oraz ich zastosowaniu w praktyce; nie zawsze bo-

wiem da się rozstrzygnąć na pewno, o jaki z tych zakresów w odnośnym tekście ustawowym rzecz idzie. Autor w bystrej i zupełnie zasadnej krytyce niedawnej uchwały o rozgraniczeniu kompetencji Naczelnika państwa i Sejmu wykazał sam, że to dwoiste znaczenie odbiło się ujemnie na ścisłości odnośnych postanowień, i że mogłoby się nawet stać przyczyną poważnych zakłóceń prawno-państwowej natury. To jego spostrzeżenie wystarczy samo, żeby przy kształtowaniu technicznej nomenklatury Sejmu ostrzec przed uwzględnieniem określnika tego wyłącznie tylko w jego znaczeniu ściślejszem, zatem przed oznaczeniem Sejmu nazwą »ustawodawczy« dlatego, iż powołany jest do uchwalenia konstytucji państwa. Dodam zaś jeszcze, że skoro nauka nasza — nietylko w Galicji, ale na ogół w Polsce — używa powszechnie wyrazu »ustawa« w znaczeniu obszerniejszem, niema dostatecznej racji stawiać się jej w poprzek, zwłaszcza, że i stąd musiałyby wypłynąć rozliczne nieporozumienia i bałamuctwa.

Przypomnieć także trzeba, że określnik: ustawa, używany w Królestwie jako równoznacznik tego, co gdzieindziej nazywamy statutem towarzystwa czy jakiegokolwiek zresztą instytucji, urobił się tu pod wpływem słownictwa rosyjskiego, które na oznaczenie tego rodzaju statutów wytworzyło właśnie nomenklaturę: »ustaw«. Niema żadnych isto-

tnych powodów, żeby tę rosyjską pozostałość terminologiczną pielęgnować dalej.

Nie można mieć nic przeciwko temu, żeby pierwszy nasz Sejm, ze względu na szczególne jego zadanie i funkcje, określić jakąś osobną nazwą, która je wyraźnie oznaczy. Ale przymiotnik »ustawodawczy« nie wystarczy tutaj; owszem, jak wskazałem, zaciemni rzecz samą. Właściwą będzie tu nazwa: »konstytucyjny«, wyrażająca najdokładniej myśl, iż sejm powołany jest do uchwalenia konstytucji państwowej, i taka, która też odpowie słownictwu, nietylko używanemu dziś w podobnych wypadkach na całym świecie (konstituanta), ale już także w Polsce przedrozbiorowej: Konstytucja 3 maja, przepisując zwołanie osobnego sejmu dla rewizji konstytucji państwowej co 25 lat, nazywa go wyraźnie: Sejm konstytucyjny. Tą samą nazwą określa też dzisiejszą naszą konstytuante sama prasa warszawska, przynajmniej ta, z którą w ostatnich czasach miałem możliwość zetknięcia się (»Kurjer warszawski«) — mimo nawet używany w Królestwie określnik »ustawa« w znaczeniu przytoczonym przez autora.

Dodam jeszcze, że przyjmując nazwę »konstytucyjny« dla teraźniejszego Sejmu, nie znajdziemy najmniejszego powodu, żeby odrzucić co do niego nomenklaturę »walny«, za którą oświadczyłem się w poprzednim artykule. Między obu określeniami niema bowiem żadnego przeciwstawienia, nie obej-

muja też one zakresów pojęciowych, wykluczających się nawzajem. Nazwa »walny« charakteryzuje sejm jako przedstawicielstwo ogólnopañstwowe; należy ją tedy zastosować do każdego sejmu, niezależnie od tego, jakie on w danym wypadku spełnia funkcje szczególne, więc czy wykonywuje zwykle zadania ustawodawcze, czy też uchwała ustawy zasadnicze, dotyczące organizacji państwa; nazwa zaś »konstytucyjny« oznacza tylko tyle, że ów sejm walny powołany jest do spełnienia tej ostatniej funkcji. Tak samo Sejm czteroletni, jako twórca Konstytucji 3 maja, był sejmem konstytucyjnym, a jednak równocześnie określany był jako sejm walny. Oba określniki przymiotnikowe winny tu być zatem połączone razem, w dostosowaniu do wzorów, jak je wytworzono w Polsce przedrozbiorowej, gdzie spotykamy analogiczne połączenia terminologiczne, np. Sejm walny ordynacyjny i Sejm walny ekstraordynacyjny, albo: Sejm walny konfederacyjny, w przeciwstawieniu do Sejmu walnego, niezawiązanego pod węzłem konfederacji.

Nazwiemy tedy ostatecznie każdy nasz sejm Sejmem walnym, a teraźniejszą konstytuante Sejmem walnym konstytucyjnym.

— IV.

Dalsze uwagi w sprawie słownictwa państwowego teraźniejszej Polski.

Wracam jeszcze raz do zagadnienia, co do niektórych najważniejszych szczegółów rozpatrywanego już kilkakrotnie przedtem na tem miejscu. Nasuwa się w dalszym ciągu pytanie, czy z bogatego zasobu słownictwa technicznego, jakie w przedrozbiorowej Polsce wytworzyło się na oznaczenie całego szeregu dawnych naszych instytucji i organów, nie dałaby się zaczerpnąć pewna ilość określników na oznaczenie analogicznych pojęć w budującym się z nowa gmachu państwowym teraźniejszej Polski.

Na ważność tego zagadnienia zapatrywać się można w rozmaity sposób. Z okazji przeprowadzonej niedawno dyskusji o nazwę Sejmu («walny» — czy «ustawodawczy»), wyrażono zapatrywanie, że to kwestja — jałowa. Pod pewnym, powiedzmy z góry: ściśle praktycznym kątem widzenia, można ją oczywiście poczytać za jałową. Czy

instytucję pewną nazwiemy tak czy owak, wewnętrzna jej treść, jak ją utworzą potrzeby teraźniejszego życia państwowego, jej funkcje istotne, jakie ona wykonywać będzie, pozostaną oczywiście niezmienione. Prawdą, że nawet i z tego ściśle praktycznego stanowiska, kwestja nazwy nie zawsze będzie obojętną; właśnie w toku wspomnianej dyskusji dało się stwierdzić, że określnik «ustawodawczy» na oznaczenie Sejmu walnego kryje w sobie niebezpieczeństwo mylnego ujęcia jego kompetencji i zestosunkowania zakresu jego władzy z zakresem działania Naczelnika państwa. Gdyby nie było innych powodów, już tedy sam ten wzgląd praktyczny przemawiałby za tem, żeby sprawy nomenklatur naszych instytucji państwowych nie traktować zbyt lekkim sercem.

Ale ważniejsza rzecz inna. W życiu narodów czy państw, jak w życiu jednostek, nie można się liczyć wyłącznie z walorami treści czysto praktycznej. Są jeszcze walory inne, duchowe czy moralne, nieraz pierwszorzędnie doniosłe, takie, które wyciskają tu odpowiednie piętno indywidualizmu; nie można ich usuwać do lamusu jako bezużytecznego rupiecia. Jednym z nich, i to przedniej wartości, jest język, wyrażający myśl, tkwiącą w danem pojęciu, w wypadku niniejszym określający pewne pojęcia, w których skupia się treść instytucji państwowych. Komu takie walory nie są obojętne, ten pewno zagadnień niniejszych nie nazwie

kwestją jałową. Z pomiędzy kilku możliwych nazw na określenie tej samej instytucji wybierze on tę, za którą przemówi czy to względ na poprawność i piękność języka, czy taką, która najlepiej odpowie jego duchowi, a w danym wypadku znajdzie też oparcie w dawnej naszej staropolskiej mowie, w czasie jej najbujniejszego, późniejszymi wpływami językowymi państw rozbiorowych nieskażonego rozkwitu. Mieszczą się tam nieprzebrane skarby słownictwa, częściowo już zapomniane, nie tylko w następstwie naturalnej ewolucji, jakiej w kolei czasu podlegać musi każdy język, ale w pokaznej mierze także skutkiem półtorawiekowej niewoli, która wystawiając nas na wpływy obce, przerwała nić tradycji przeszłości, uczyniła nam tę przeszłość po części niezrozumiałą. Nowo powstająca Polska, otrząsnąwszy się z tej zmory cudzoziemskiej, staje wobec obowiązku ponownego nawiązania nici, łączących ją z dawną tradycją językową, użytkowania wszystkiego, co w starym słownictwie polskim jest pięknego i zasadnego, nieraz bardzo dosadnego, a dla potrzeb terażniejszych jeszcze użytecznego.

Oczywiście, nie każda instytucja dzisiejsza, nie każde tegoczesne pojęcie prawnopolityczne znajdzie stosowny dla siebie odpowiednik w dawnym naszym języku. Wielostronny rozwój stosunków życia państwowego w ostatnim z górą stuleciu, zróżnicowana w wysokim stopniu jego ewo-

lucja w tym czasie, stworzyły bezlik nowych urządzeń i nowych stosunków prawnych, jakich przed upadkiem Polski zgoła nie było, dla których tedy język nasz w przedrozbiorowej dobie nie mógł wytworzyć jakichkolwiek określeń. Dla tych rzeczy trzeba będzie bądź to zachować te nazwy, jakie w słownictwie naszym ustaliły się w dobie rozbiorowej, bądź też, o ile cokolwiek przemawiałoby przeciwko ich zatrzymaniu, wyteńczyć myśl celem wyszukania innych, stosowniejszych. Ale jest poza tem cały szereg innych urządzeń, które istniały przed rozbiorami i miały urobione dla siebie nazwy techniczne. Prawda, że i one podległy i podlec musiały co do wewnętrznej treści nieraz gruntownemu przeobrażeniu pod wpływem ewolucji terażniejszego życia państwowego. Innym co do charakteru i budowy był sejm przedrozbiorowej Polski, a innym musi być sejm terażniejszej Rzeczypospolitej; innem było stanowisko dawniejszych ministrów w Polsce, a innem znowuż jest ono dzisiaj u nas, jak zresztą gdziekolwiek indziej. Wszelako mimo te, nieraz zasadnicze, czasem najgłębiej sięgające różnice, określenia techniczne, wytworzone w czasach dawniejszych, dadzą się nieraz w wypadkach takich zastosować bez przeszkody do stosunków dzisiejszych.

Bo język odznacza się pod tym względem wielką giętkością; w utworzonych raz określnikach zdoła on zmieścić, w kolei czasu, treść rozmaitą,

w miarę, jak sama rzecz, dla której zrazu ustalony został określnik, podlegnie kolejnym przekształceniom treściowym. Nie trzeba chyba przypominać, jaką skalę przemian pojęciowych przeszedł wyraz konsul, zanim pierwotne swoje dostojne znaczenie rządcy starożytnego Rzymu zmienił na dzisiejsze: przedstawiciela interesów handlowych jednego państwa w obrębie drugiego. Były w wiekach średnich cechy, a istnieją pod tą samą nazwą także i dzisiaj, choć cała ich funkcja i wewnętrzna treść jest zasadniczo odmienna od dawniejszej. Nie przyszło też nikomu na myśl, żeby teraźniejsze nasze zgromadzenie prawodawcze nazwać inaczej, jak sejm, zatem tak samo, jak je nazywano w Polsce przedrozbiorowej, mimo że organizacyjnie zachodzą między niemi daleko sięgające różnice. Na tej zasadzie z bogatej skarbnicy dawnego języka naszego zaczerpnąć będzie można, bez obawy nieporozumienia czy też wypaczenia myśli, niejedną nazwę na oznaczenie instytucji dzisiejszych, choćby one nawet podległy ważniejszym przeobrażeniom w porównaniu z analogicznymi urządzeniami dawniejszemi. A cóż dopiero mówić o tych wypadkach, gdzie między instytucją dawniejszą a teraźniejszą różnica jest mniej istotna, czasem tylko zewnętrzna i powierzchowna.

Przemawiając za zużytkowaniem słownictwa dawniejszego, pragnąłbym zastrzec się jeszcze, że nie stawiam się bynajmniej na stanowisku pury-

stów, uznających rację bytu samych tylko wyrazów czysto rodzimych, szczeropolskich. Owszem, przyjdzie mi nieraz oświadczyć się za wyrazami pochodzenia obcego, o ile one w języku naszym uzyskały prawo obywatelstwa i szersze upowszechnienie, a zwłaszcza, o ile pojęciowo splotły się ściśle z pewną instytucją, o której oznaczenie w danym wypadku rzecz idzie. Czasem zrosły się one z nią tak ściśle, że pomysł zastąpienia ich jakimś wyrazem swojskim trzeba uważać z góry za wykluczony, jak wykluczoną byłaby np. myśl zastąpienia wyrazów: biskup, ksiądz, jałmużna, wójt, sołtys, ratusz, rynek, warstat, jakimikolwiek innymi, mimo że wszystkie one są pochodzenia obcego. Czasem zaś taki wyraz, zapożyczony skądinąd, do tyła przylgnie nam do przekonania, że staje się właśnie najdokładniejszym wyrazicielem rodzimej myśli, usuwając w cień równoznaczny wyraz szczeropolski. Dość zestawzić tu dla przykładu jedyny określnik: animusz i o wiele bledszy odeń: ochota.

Po tych zastrzeżeniach mógłbym już przystąpić do szczegółów, gdyby nie potrzeba wyświetleń jeszcze jednej kwestji ogólniejszej, odnoszącej się do całej grupy zagadnień szczegółowych. Oto liczne nasze urządzenia dawniejsze opatrywano pospolicie określnikiem »koronnych«. Było prawo koronne, były różne instytucje i organy koronne, byli rozliczni dostojnicy i urzędnicy koronni. Czy ten określnik da się zużytkować przy oznaczeniu

teraźniejszych naszych urządzeń państwowych? Odpowiadam na to twierdząco. Przedewszystkiem bowiem niema w nim nic, coby ubliżało teraźniejszemu ustrojowi państwowości naszej, zorganizowanej w kształt Rzeczypospolitej. Wyraz Korona, choć w początkach, genetycznie, wytworzył się z pojęcia korony, jako symbolu monarszego władztwa, oderwał się wnet, pod względem treściowym, od tej pierwotnej swojej podstawy myślowej, i stał się po prostu równoznacznikiem pojęcia państwa, na podobieństwo takiej samej ewolucji, jaka nieco wcześniej dokonała się najpierw na Węgrzech, a wnet potem w Czechach. Od chwili, w której się to stało, przeciwstawiano go nieraz samemu pojęciu władcy i jego uprawnień monarszych; wszak już w początkach rządów Jagielly, podkreślając podwładność rozmaitych książąt litewsko-ruskich, czy moldawskich, a później mistrzów krzyżackich, zastrzegano, że mają podlegać regi et coronae Poloniae, zatem i królowi i państwu polskiemu. W nazwie »koronny« tkwi zatem ściśle tylko pojęcie państwowości, to zaś da się zastosować nie tylko do ustroju monarchicznego, ale zarazem także w budowie Rzeczypospolitej.

Wobec nierozstrzygniętego dotąd ostatecznie stosunku prawnopństwowego Litwy do Polski mogłaby się nasunąć wątpliwość, czy jest rzeczą wskazaną uciekać się już teraz do nomenklatury »koronny«, żeby przez to nie przesądzać samemu

urządzeniu tego stosunku w przyszłości. Wiadomo bowiem, że od czasów Jagielly aż do rozbiórów określnik »Korona« używany był pospolicie na oznaczenie Polski rdzennej w przeciwstawieniu do Litwy i należnych do niej ziem ruskich; mogłaby tedy zrodzić się obawa, że przez wprowadzenie nazwy »koronny« przesądza się niejako z góry sprawę zestosunkowania obu obszarów w duchu ustroju dualistycznego. Wszelako i ta obawa byłaby płonna. Wyraz Korona na oznaczenie państwowości polskiej nie powstał dopiero z tą chwilą, w której trzeba ją było przeciwstawić osobnej państwowości litewskiej. Wytworzył się on jeszcze wcześniej jako określnik państwowości na ogół. Już za czasów Kazimierza W., w chwili, kiedy nie tylko myśleć o unji z Litwą, ale nawet przewidzieć jej nie było można, zjawia się niejednokrotnie wyraz »Korona« jako oznaczenie całego, podówczas pod berłem królów polskich zostającego państwa. Da się tedy wyraz ten zastosować do stosunków teraźniejszych także i w tym — najpożądniejszym — wypadku, jeżeli Litwa razem z Polską utworzy organizm państwowy na wskrós jednolity. A to tem bardziej, że także w czasach późniejszych, za Jagiellonów, Wazów czy Sasów, wyraz »Korona«, jakkolwiek często przeciwstawiany Litwie, przybierał także znaczenie obszerniejsze, obejmując sobą zarówno

Polskę, jak i Litwę. Wszak przeważna część konstytucji sejmowych, poczynając od drugiej połowy XVI. do końca XVIII. w., określana jest urzędową nazwą konstytucji koronnych, albo sejm walnego koronnego, mimo że od unji lubelskiej sejm jednocył w swoim składzie nie tylko czynniki polskie, ale i litewskie, i mimo że wydawał ustawy, obowiązujące zarówno w Polsce, jak i na Litwie, a często nawet w osobnem zgrupowaniu zbierał w tych konstytucjach wszystkie dla Litwy wydane przepisy. Co zaś najbardziej znamienne, to okoliczność, że właśnie konstytucje Sejmu lubelskiego, na którym dokonana się unja z 1569, otrzymały urzędowy tytuł: »Konstytucje sejm koronnego obojga narodu uniowanego, polskiego i litewskiego«. O ile sięgnąć do tradycji wyrazowej, nie przesadzimy tedy określnikiem »koronny« samego kształtu terazniejszego połączenia państwowego Litwy z Polską; da się on zastosować zarówno w tym wypadku, jeżeli powstaną dwa, unją połączone państwa, jako też i w tym, jeśli utworzą jeden, organicznie związany ustrój państwowy. A teraz zwrócić się nam do szczegółów.

Mamy tedy na czele państwa Naczelnika Rzeczypospolitej. Wiadomo, że nazwa ta w przedrozbiorowej, monarchicznej Polsce nie istniała jako określnik o ustrojowej treści. Zjawiała się ona dopiero u samego skłonu jej istnienia,

w warunkach nadzwyczajnych, kiedy naród podjął ostatnie wysiłki, żeby ratować byt niezależny, i przyłgnęła wtedy do osoby Kościuszki. Ale właśnie przez to stała się nam szczególnie cenną i zdobyła sobie od razu pełne prawo obywatelstwa. Jakkolwiek zaś naczelnictwo Kościuszki treściowo wykazuje najdalej sięgające różnice w porównaniu z terazniejszym naczelnictwem Rzeczypospolitej, przecież nie można podkreślić dość dosadnie, jak dobrze stało się, żeśmy tu sięgnęli do tej udostojnionej jego osobą nazwy. Mówi nam ona daleko więcej, aniżeli potrafilby powiedzieć kōsmopolityczny określnik prezydenta Rzeczypospolitej; a mówi wprost do serca, i będzie chyba dobrą wróżbą, że wybrańcy, których los powoła na spadkobierców kościuszkowskiego dostojęństwa, dążyć będą według sił do tego, ażeby zbliżyć się do pierwowzoru w gorącym umiłowaniu narodowej sprawy, w czujnem przestrzeganiu interesów całości narodu i jego terytorjum, w zaparciu się siebie samego dla dobra ogólnego¹.

O Sejmie walnym mówiłem już osobno w dwu

¹ Nie przesadzamy przez to poruszonej ostatnio, już po napisaniu tego artykułu, sprawy, czy nazwa ta pożądaną jest ze stanowiska politycznego, i czy jej nie zastąpić raczej nazwą prezydenta. Gdyby względy polityczne miały za tem przemówić, należałoby oczywiście dostosować się do tego postulatu. Osobiście — nie odczuwam tej potrzeby. W koncepcji prezydentury tkwi także myśl naczeln-

poprzednich artykułach; dodam tu, w myśl uwag przed chwilą wypowiedzianych, że pełny jego tytuł, zgodnie zresztą z dawną tradycją terminologiczną, dałby się rozwinąć w zwrot: *Sejm walny koronny*.

Za to osobnego omówienia wymaga sprawa nazw teraźniejszych ministerstw. Nomenklatura ta nie była obcą słownictwu urzędowemu Polski wieku XVIII, a częściowo już nawet XVII, ale używano jej przeważnie tylko w znaczeniu rodzajowym; obok tego istniały jeszcze osobne nazwy indywidualne dla każdego ministra tamtych czasów. Zachodzi otóż pytanie, czy nazwy te nie dałyby się przystosować do stosunków dzisiejszych? Niewątpliwie nie wystarczą one na oznaczenie wszystkich bez wyjątku ministerstw teraźniejszych. Jest ich, i musi być obecnie, wobec zróżnicowania rozmaitych działów zarządu państwowego, znacznie więcej, aniżeli w przedrozbiorowej Polsce. Co do wielu trzeba tedy będzie pozostać przy kosmopolitycznym określniku ministra. Ale niektórym z nich należałoby przywrócić dawniejsze nazwy indywidualne. Dla ministra spraw zagranicznych aż się prosi nazwa *kanclerza koronnego*, a tak samo dla ministra skarbu określnik *podskarbiego koronnego*; może

nictwa, a pojęcie naczelnictwa jest tak rozciągliwem, że da się w niem zmieścić treść rozmaita, nawet bardzo ograniczona.

też byłoby rzeczą wskazaną, w myśl zasad, przeprowadzonych w organizacji dawniejszej Rady nieustającej, na czele zarządu spraw wewnętrznych postawić ministra, określonego nazwą *marszałka koronnego*. Przewiduję zarzut, jaki mnie tu spotkać może, że w takim razie w pełnem gronie ministrów jedni poprzestać będą musieli na zwykłym rodzajowym określniku swego dostojęstwa (np. minister oświecenia publicznego, minister poczt i komunikacji itp.), a inni otrzymają wspomniane co dopiero nazwy indywidualizujące. Sądzę wszelako, że ta nierównomierność słownictwa nie przedstawia jakichkolwiek stron ujemnych, zwłaszcza, że można dla niej znaleźć dużo analogji w teraźniejszych urządzeniach innych państw. Wszak w Niemczech aż do dzisiejszego ich rozpadu działał obok innych »ministrów« osobny »kanclerz Rzeszy« jako minister spraw zagranicznych, a w Anglii dla załatwiania takichże spraw istnieje »kanclerz wielki« (lord high chancellor), na czele zarządu skarbowego stoi »kanclerz skarbu« (chancellor of the exchequer), na czele zarządu sprawiedliwości osobny »sekretarz stanu«, obok całego szeregu »ministrów«, kierujących innemi gałęziami zarządu państwowego.

Na oznaczenie ogółu ministrów jako ciała zbiorowego byłaby się zapewne nadawała najlepiej stworzona konstytucją majową z 1791 nazwa *Strazy*; ponieważ jednak teraźniejsza deklaracja

cja konstytucyjna zaprojektowała osobny organ o zgoła innym charakterze pod nazwą »Straży praw«, przeto trzeba tu może będzie pozostać przy kosmopolitycznym okreśniku rady ministrów, o ile na oznaczenie tego pojęcia nie uda się wynaleść jakiejś innej stosowniejszej nomenklatury. Za to przy podziale poszczególnych ministerstw na pewne oddziały użytkować będzie można wprowadzoną w organizacji dawnej Rady nieustającej, zresztą i dziś dość pospolitą nazwę departamentów; byleby tylko ustrzec się nazywania kierowników departamentowych »szefami«, czy »szefami sekcji«. Może przez stosowne przekształcenie wewnętrznej treści jednego z dawniejszych naszych organów, możnaby tu uciec się do nazwy referendarzów (referendarz departamentu N. N.).

Co do podziału administracyjnego państwa dochodzą w ostatnich czasach wieści, że najwyższa jednostka prowincjonalna otrzymać ma nazwę województwa i poddaną zostanie zarządowi wojewody. Tej myśli, nawiązującej rzetelnie do dawniejszej tradycji dziejowej, można tylko przyklasnąć. Oczywiście, okaże się jeszcze potrzeba przeprowadzenia podziału województw na pomniejsze jednostki administracyjne. W ilu stopniach, tego przesądzać nie mogę, choć, ze względu na wymóg uproszczenia zarządu, utworzony zostanie najprawdopodobniej jeden tylko niższy

stopień takich jednostek terytorjalnych. Z nazw trzech, wzajemnie przecinających się podziałów administracyjnych niższego rzędu, jakie przeprowadzone były w województwach dawnej Polski: »kasztelania«, »ziemia« i »powiat«, trzeba tedy będzie oświadczyć się za jedną tylko. Nie wątpić, że wybierzemy tu nazwę powiat, bo to jest pospolita niższego typu jednostka administracyjna w Polsce wieku XIV—XVIII; »ziemia« (w znaczeniu ściślejszem) stoi w bliższym związku tylko z organizacją sądową, a »kasztelania« jest wprawdzie w Polsce pierwotnej jednostką ustroju administracyjno-sądowego, i zarazem wojskowego, ale w czasach późniejszych zachowała już tylko znaczenie w dziedzinie wojskowości. Na czele powiatu stanie chyba znany już dobrze także urządzeniom naszym dawniejszym starosta; dla najbliższego po nim w starostwie urzędnika nadawałaby się zapewne najlepiej nazwa podstarościego, o ileż bardziej rodzima i rozumniejsza od austriackich »sekreterarów« i »komisarzów« starostwa!

Co do nazw, dotyczących naszych instytucji sądowych, należałoby zacząć od korektury kilku niefortunnych zarządzeń, jakie ukazały się w ostatnich czasach. Niedawny dekret o urzędzeniu »Sądu najwyższego« jako ostatniej instancji w sprawach sądowych — przyszło mi czytać z prawdziwym żalem, że zabrano się do tej rzeczy z tak małą znajomością dawniejszej naszej

tradycji terminologicznej. Na czele sądu tego postawiono »prezesa«, jego członków nazwano »sędziami«, przestrzeganie interesu publicznego w razie naruszenia go przez czyn karny zdano w ręce »prokuratora«. Wszystko to oczywiście zrozumiałe, i po części czysto polskie wyrazy; a jednak, jeśli sięgnąć do dawnej skarbnicy naszego języka, wszystkie one dadzą się zastąpić określnikami bardziej swojskimi, dawnym zwyczajem utartymi, nie raz o wiele jędrniej przewodnią myśl instytucji czy właściwe funkcje organu wyrażającymi.

Spostrzeżenie to dotyczy przedewszystkiem nazwy samego sądu. Zwracam uwagę i podkreślam z naciskiem, że w dawnej Polsce dla najważniejszych sądów instancji najwyższej ustalił się określnik: *trybunał*. Mówiono o trybunale królewskim, istniał trybunał koronny jako najwyższy sąd apelacyjny; w sprawach skarbowych rozstrzygał ostatecznie trybunał skarbowy (radomski). Jestto jeden z przykładów, oświetlających wspomniane na wstępie zjawisko ogólne, że wyraz pochodzenia obcego zdobywa sobie w słownictwie naszym znaczenie przodujące, usuwając w cień równoznaczny określnik rdzennie polski (sąd). Jeżeli nawiązać do ustalonej tradycji językowej — to teraźniejszemu »sądowi najwyższemu« będzie do twarzy tylko z nazwą *Trybunału koronnego*. W dawniejszym trybunale koronnym przewodniczył *marszałek*; czy nie lepiej w miejsce

bezbarnego w tym wypadku »prezesa« wskrzesić tu ową szanowną, tak ściśle z dawnym urządzeniem naszego sądownictwa zespoloną nomenklaturę? Nie obawiamy się, że skutkiem współrzednego istnienia marszałka sejmowego, a może i koronnego (por. wyżej), ten trzeci, marszałek trybunału, wniesie tu jakieś zamięszanie pojęciowe. Bo wszakże ta sama troistość marszałkowskich dostojestw istniała także w dawnej Polsce, a przecie nie powodowała żadnego zamięszania — żeby nie mówić już o tem, że ponadto istnieli wtedy innego jeszcze rodzaju marszałkowie, np. sejmikowi.

Co do zwykłych członków trybunału znowuż rzucić można pytanie, czy jest tu na miejscu bezbarwny na ogół określnik: »sędzia«? Jeżeli sięgnąć do tradycji dawniejszej, znajdzie się tu wyraz o wiele dosadniej charakteryzujący odrębne stanowisko członków tej instytucji. Członkowie dawnego trybunału koronnego zwali się *d e p u t a t a m i*. Co prawda, nazwa ta uróbiła się stąd, że ich wybierano (deputowano) na sejmikach ziemskich, gdy obecnie mają to być sędziowie z nominacji. Żeby już jednak nie sięgać do argumentu, że przecie także sędzia mianowany da się pojąć jako organ deputowany (tj. wyznaczony) do wymiaru sprawiedliwości, zwrócić można uwagę na zaznaczone poprzednio zjawisko przystosowywania się tych samych określników wyrazowych do różnych co do treści zakresów pojęciowych, zwłaszcza, że tym ra-

zem nie chodzi nawet o zasadniczą różnicę co do treści sprawowanych przez ten organ funkcji, jeno o odmienny sposób jego ustanowienia. W ślad za tem, a zgodnie z tradycją dawniejszą, możnaby tedy członków niniejszego trybunału nazwać deputatami. W wielkiej rzeszy sędziów rozmaitego autoramentu w obrębie najróżnorodniejszych sądów polskich będzie to określnik bądź co bądź bardziej indywidualizujący odrębne stanowisko członków najwyższej instytucji sądowej, a i sama ich tytułatura: »deputat Trybunału koronnego« chyba gładszą od osobiwej: »sędziego sądu najwyższego«.

Wreszcie — »prokurator« przy tymże trybunale, o ile występuje jako organ oskarżycielstwa publicznego. Wracam tu do zagadnienia, o którym dawniej jeszcze, przed teraźniejszą wojną, umieściłem kilka uwag w jednym z tutejszych dzienników, prawda, że wtedy rozpatrując tę rzecz z innego stanowiska, t. j. ze względu na zamieszanie, wynikające z równorzędnego używania tej nazwy na oznaczenie dwu zgoła odrębnych i co do charakteru odmiennych organów »prokuratora państwa« i »prokuratora skarbu«. Oświadczyłem się wtedy za nazwą instygator, jako określnikiem oskarżyciela publicznego. Głos mój nie wywołał żadnego widomego skutku, jak przypuszczam, dlatego, żeśmy się poruszali wtedy jeszcze w starych szablonych pojęciowych austriacko-galicyskich; trudno bowiem dopatrzeć się jakiegokolwiek

przeszkody rzeczowej w przyjęciu rzeczowej nazwy, skoro ona, dokładniej nawet aniżeli »prokurator«, wyraża tkwiącą w charakterze tego organu ideę oskarżycielstwa publicznego. Prawda, że określnik »prokurator« utarty jest w słownictwie wielu państw europejskich jako nazwa oskarżyciela publicznego; zgoła jednak nie wynika stąd konieczność przyjmowania jej do słownictwa naszego: podobnie, jak porzuciliśmy kósmopolityczny określnik prezydenta Rzpltej, zastępując go rodzimym — i lepszym: naczelnika. O ile chodzi o nawrót do tradycji terminologicznej dawnej Polski, nie znajdziemy na określenie tego organu innej nazwy, jak tylko: instygator. Istniał wtedy »instygator koronny«, działający przy boku króla, istnieli »instygatorowie grodzcy«, urzędujący przy starostach. Dla organu, działającego przy trybunale koronnym, okaże się najstosowniejszą nazwa instygatora koronnego. Wrócimy do niej zapewne tem chętniej, jeśli przypomniemy sobie tradycję terminologiczną wyrazu »prokurator« w dawnej Polsce. Oznaczał on tu zawsze tylko zastępcę procesowego strony prywatnej w sporach sądowych, a cieszył się dziwną niepopularnością w społeczeństwie. Uważany był za urodzonego pieniać i rabulistę prawnego. Już w wiekach średnich cały szereg ustaw wychodzi z założenia, że prokuratorowie dopuszczają się oszczerstw w prowadzeniu procesów, w ślad za czem też orzekano na nich

karę piętnowania na twarzy (stąd pośrednio wytworzone pojęcie potwarzy); a jedynem »epiteton ornans«, na jakie zdobyć się zdołała konstytucja z 1543 o tej kategorii ludzi, były słowa: *procuratores mercennarii*.

Nowoczesny układ stosunków państwowych wymaga, żeby oprócz trybunału koronnego, jako najwyższej instancji w zwykłych sprawach sądowych, cywilnych i karnych, stworzyć ponadto conajmniej jeden jeszcze trybunał dla spraw prawa publicznego, wykonywujący tego rodzaju funkcje, jak sądownictwo nad ministrami w razie naruszenia konstytucji, orzecznictwo w sprawach o naruszenie praw obywatelskich, rozstrzyganie sporów kompetencyjnych władz itp. Ponieważ tego rodzaju instytucji nie było w Polsce przedrozbiorowej, więc oczywiście nazwy jej nie będzie tu można nawiązać do tradycji dawniejszej; może najstosowniejszy określnik dla tego organu znajdzie się, jeżeli w odróżnieniu od Trybunału koronnego nazwiemy go Trybunałem Rzeczypospolitej.

Wracając do sądownictwa zwyczajnego, dotknę tu jeszcze sprawy nazw instancji sądowych średnich i niższych. Obecnie działają w kilku największych miastach Polski »sądy apelacyjne«, a oprócz tego, zarówno tam, jak i w niektórych innych miejscowościach, jako władze powołane w instancji pierwszej do orzecznictwa w sprawach

ważniejszych, »sądy okręgowe«. Zauważę tu najpierw, w myśl uwag poprzednich, że ze względu na przedniejsze znaczenie tych sądów należałby się im zapewne tytuł trybunałów. Co się zaś tyczy określnika »okręgowy«, stwierdzę, że ze stanowiska tradycji terminologicznej Polski przedrozbiorowej jest on nieuzasadniony. Nie istniała w ówczesnej Polsce jakakolwiek jednostka podziału administracyjnego czy sądowego, którąby określano nazwą okręgu; w ślad za czem też nie było tu żadnych władz okręgowych. Określnik ten da się nawiązać dopiero do wzorów z czasów Królestwa kongresowego. Czy go zatrzymać teraz — pytanie to da się rozstrzygnąć dopiero po rozwiązaniu innego wstępnego: w jaki sposób zestosunkowany zostanie terytorjalny zakres władzy teraźniejszych »sądów okręgowych« z terytorjum województw samych. Jeżeli na każde województwo przypadnie jeden tylko »sąd okręgowy«, natenczas najwłaściwiej byłoby go nazwać Trybunałem wojewódzkim, może z dodatkiem: »pierwszej instancji«. Gdyby natomiast w obrębie jednego województwa przyszło działać kilku tego rodzaju sądom, natenczas, w braku lepszego, trzeba by je zapewne oznaczyć określnikiem Trybunałów okręgowych. Co do »sądu apelacyjnego«, którego zakres terytorjalny obejmie niewątpliwie całe województwo, nasuwa

się sama z siebie nazwa Trybunału wojewódzkiego apelacyjnego.

Kwestja nazw, któremi należałoby oznaczyć członków obu tych typów naszego sądownictwa, przedstawia znaczenie stosunkowo podrzędniejsze. Osobiście — sądziłbym, że duchowi naszego słownictwa odpowiadałby tu bardziej tytuł prezesów, nie: »prezydentów«, na oznaczenie naczelników każdego z tych trybunałów. Zapewne też byłoby rzeczą wskazaną wziąć rozbrat z austriacką tytulaturą »radców sądowych«, a w miejsce jej wprowadzić nazwę sędziów Trybunału wojewódzkiego czy okręgowego. Oczywiście, w dziale spraw karnych należałoby też ustanawiać instygatorów trybunału wojewódzkiego czy okręgowego — nie prokuratorów.

Dla sądów najniższej instancji, zwanych tu w Galicji »powiatowymi«, uważam dawną naszą, tyle upowszechnioną nazwę sądów ziemskich za bezwarunkowo odpowiedniejszą. Bo organizacja »powiatu«, jak na to wskazałem już poprzednio, mimo pochodnie nabyty udział starostów w wykonywaniu sądownictwa, łączyła się w dawnej Polsce przede wszystkim z potrzebami administracji; natomiast organizacji sądownictwa niższego odpowiadał podział na ziemię. I gdyby nawet przyjąć, że terytorjalny zakres działania tych sądów rozciągać się będzie na ten sam obszar, który

jako »powiat« podlegać będzie teraz administracyjnemu staroście, nie będzie w tem żadnej przeszkody, żeby dla sądu utrzymać nazwę »ziemski«, nie zastępując jej bynajmniej określnikiem »powiatowy«. Bo i w dawnej Polsce obszar powiatu administracyjnego (starostwa) schodził się niejednokrotnie z obszarem ziemi sądowej, nie wpływając w niczem na zmianę tytułu organu samego, jako »sądu ziemskiego«.

Że oczywiście w ślad za tem kierownik sądu ziemskiego otrzymać winien uświęconą starym, sześciowiekowym zwyczajem nazwę sędziego ziemskiego, rozumie się samo przez się. Dla innych, podwładnych mu w tym sądzie kolegów nasuwa się utarty tą samą tradycją starożytną określnik podsędków ziemskich. Dotykam tego ostatniego szczegółu w pełnem wprowadzeniu o zasadności pomysłu, ale przecież z niejaką obawą; już bowiem raz przedtem spotkała mnie w tej sprawie konfuzja. Na kilka jeszcze lat przed teraźniejszą wojną, wobec zapoczątkowanej wtedy ze strony wyższych władz sądowych galicyjskich akcji przemianowania organów niższego sądownictwa, znalazłem sposobność objawienia opinii w tej mierze; i oświadczyłem się już wtedy za pomysłem, żeby urzędnikom, działającym w ówczesnych sądach powiatowych pod kierownictwem sędziego nadać nazwę podsędków. Podobno także mój kolega uniwersyte-

cki w Krakowie, zapytywany w niniejszej sprawie, oświadczył się za taką samą nomenklaturą. Mimo to wnioski nasze rzucono do kosza, jak mnie słuchy doszły, dlatego przedewszystkiem, że w tytulaturze: p o d s ę d e k dopatrzone się czegoś jakoby przykrego czy ubliżającego dla osobników, którym przyszloby jej używać. Za to rozwiązano sprawę w sposób iście Salomonowy: kierownika sądu powiatowego nazwano »sędzią powiatowym«, a innych podwładnych mu urzędników sądowych »sędziami« po krótku. Logika tego zarządzenia terminologicznego pozostała dla mnie niezgłębioną tajemnicą. Jakkolwiek bowiem nazwiemy tych sędziów, przydając czy ujmując dodatek: »powiatowy«, ostatecznie wszystkich trzeba będzie uznać za »sędziów powiatowych«, skoro przypadło im działać w »sądzie powiatowym«.

Co się zaś tyczy momentów rzekomo ubliżających, jakie tkwić mają w nazwie podsędk, to nie było do takiego mniemania najmniejszej podstawy, chociażby nawet patrzeć na tę rzecz wyłącznie przez okulary austriackie. Wszakże już wtedy wojskowość rozróżniała między porucznikiem i p o d porucznikami, i niema śladu, żeby ci ostatni czuli się pokrzywdzonymi swoim tytułem: wyraża się w nim ta sama, każdemu nawet bez względu na tytuły wiadoma myśl, jaka tkwi w nazwie p o d s ę d k a, że w odnośnej hierarchji urzędniczej stoi on o jeden stopień niżej od równoimien-

nego, przydatkiem »pod« nieopatrzego funkcjonariusza. A cóż dopiero, gdyby ci panowie, którzy rozstrzygali wtedy o sprawie, byli sobie zadali trud zapoznania się chociażby z kilku elementarnymi właściwościami dawnego słownictwa państwowego w Polsce! P o d s k a r b i był tu ministrem stanu i najwyższym urzędnikiem skarbowym, wobec którego skarbnik, pokąd jeszcze istniał, usuwał się w szary kąt. I znowuż w hierarchji urzędniczej ziemskiej, zaraz po najwyższych dostojnikach, wojewodzie i kasztelanach, senatorach Rzeczypospolitej, na pierwszym miejscu w licznej rzeczy właściwych urzędników ziemskich, stał p o d k o m o r z y, nie tylko przed wszystkimi podstolimi czy podczaszymi, ale przed stolnikiem, cześnikiem, sędzią ziemskim, żeby nie mówić o wielu jeszcze innych urzędnikach tej grupy. A zaś komornik, zdawałoby się pozornie: przedniejszy od podkomorzego, był najpośledniejszym urzędnikiem sądu ziemskiego, do tyła mało znacznym, że nie wszedł nawet w skład właściwej hierarchji urzędniczej ziemskiej. Miałby się być z pyszna ten, ktoby pana podskarbiego považyl się nazwać skarbnikiem, albo podkomorzego komornikiem. Fatalne »pod«, to zatem nie taka straszna rzecz, żeby nam stanęła na przeszkodzie w przywróceniu zasadnej, tyluwiekową praktyką utartą, naprawdę rodzimej nomenklatury. Jeżeli czego wystrzegać się należy, to nieszczęsnego, po austriac-

ku bezmyślnego »nad«, w którym tak lubowaliśmy się, a w cichości duszy może lubujemy się i teraz, używając takich dziwolągów językowych, jak: »n a d radca« lub »n a d prokurator«, i zapominając, że przez to Bogu ducha winnych radców i prokuratorów spychamy właściwie na stanowisko »p o d radców« i »p o d prokuratorów«.

Zakończę ten ustęp o sądownictwie, w myśl uwag, rozwiniętych w jednym z poprzednich moich artykułów, gorącym apelem do naszych sędziów, żeby wyroki swe wydawali nie w imieniu »republiki«, jeno Rzeczypospolitej polskiej. Wprawdzie niedawne rozporządzenie Ministerstwa sprawiedliwości, urządzające tę sprawę, użyło tu wyrazu »republika«; stało się to jednak widocznie tylko w pośpiechu redakcyjnym; a nie można chyba wątpić, że nie chciało ono przez to wzbronić używania wyrazu »rzeczpospolita«. Autentycznym poparciem tej mojej wykładni jest opracowany przez rząd naczelny, zatem także za współudziałem ministra sprawiedliwości, projekt deklaracji konstytucyjnej, jak go na posiedzeniu z 3 maja 1919 przedłożono do uchwalenia Sejmowi walnemu koronnemu. Projekt zawiera postanowienie, że wyroki sądowe mają być wydawane w imieniu Rzeczypospolitej (nie republiki) polskiej.

Z dziedziny nazw, określających różne pojęcia organizacyjne w zakresie wojskowości,

na pierwsze miejsce wysuwa się starożytny, dostojny określnik: hetman wielki koronny, nadający się w sam raz na oznaczenie naczelnego wodza armji. Rozumie się, mam tu na myśli dowództwo rzeczywiste, nie zaś teoretycznie przyznane doń prawo, jakie w ustrojach monarchicznych przysługuje władcy, a według wspomnianej deklaracji konstytucyjnej zapewnione ma być Naczelnikowi Rzpltej; nie zawsze bowiem ci kierownicy państw są wojskowymi z zawodu, i najczęściej też rzeczywiste dowództwo zdają w ręce innej osoby (t. zw. generalissimus). Gdyby przyjąć osobny urząd zastępcy naczelnego wodza, mielibyśmy również gotowy dlań, dawniejszą tradycją językową ustalony określnik hetmana polnego koronnego; nasuwa się zresztą pomysł, że na ogół pewne przedniejsze kategorie generałów mogłyby być określone tą ostatnią nazwą. Warto też rozważyć pytanie, czy, przetwarzając częściowo dawniejszą treść wyrazu, nie możnaby »szefa sztabu« określić utartą dawniejszą nazwą regimentarza, a generalnego kwatermistrza, jeśli organ taki istnieje w naszej armji, nazwać wielkim oboźnym. Czy na oznaczenie pewnych jednostek organizacji wojskowej, np. batalionu lub kompanji, nie nadałby się lepiej utarty wyraz hufiec, rozstrzygną z większą znajomością rzeczy zawodowi znawcy tych stosunków. W każdym razie przyjąć można z wielkiem pra-

wdopodobiństwem, że mobilizację określimy starożytną nomenklaturą pospolitego ruszenia.

Oto szereg uwag, jakie mi nasunęło postawione zagadnienie: co z bogatej skarbnicy dawnego naszego słownictwa technicznego dałoby się zużytkować przy ustaleniu nazw teraźniejszych naszych organów i instytucji państwowych. Ostrzegam, że uwagi te bynajmniej nie wyczerpują przedmiotu. Są to raczej luźne tylko i urwane spostrzeżenia, jakie mi nasunęła na pamięć postawiona kwestja. Mam przekonanie, że dadzą się one jeszcze uzupełnić pokaźnie. Za uzupełnienia wyrażam z góry wdzięczność gorącą.



16446